

Pan Jeź

Miasto Zduny zawsze kochało rozgłos. Mieszkańcy wirtualni, ci wszyscy kanapowi konsumenci treści głupich i głupszych, słanych przez wiecznie rozochoczone – i nie mniej zapewne fałszywe – w telewizjach twarze, liczyli się dla tutejszego samorządu równie mocno co, rzekłoby się, p r a w d z i w i, r z e c z y w i ś c i rezydenci. A nawet – i nie byłoby to bynajmniej przesadą czy paskudną literacką hiperbolą – to właśnie dla nich budowano nowe dzielnice, ulice i mieszkania. Przynajmniej takie odnosiło się wrażenie, w swej istocie tak przekonująco silne, że tylko dla bezmyślnego głupca, prymitywa w szacie stworzenia rozumnego mogło wydawać się nieprecyzyjnie wplecionym w poemat życia tego miasta środkiem stylistycznym, jakąś w y c u d a c z o n ą metaforą. Choć może była to dla takich osobników pewna forma samoobrony? Niełatwo, w to akurat wierzę, przyswoić fakt, że nie mieszkasz już z kimś cielesnym, do kogo możesz się swobodnie odezwać, spojrzeć nań, czy porządnie, bo przecież jesteśmy ludźmi, bluznąć. Ciężko, doprawdy ciężko przekonać siebie samego, że sąsiadów masz tylu, ile mord spragnionych g o r ą c y c h wiadomości ślini się do kolorowego ekranu każdego wieczora przy nowym wydaniu wiadomości. Ciężko, bo zapewne nigdy ich nie zobaczysz! Jedynie ich ambasadorów, posłów czy reprezentantów – tych wszechciekawskich, dziwnym trafem wszędobylskich odkrywców złotych sensacji, którzy zawsze kroczą w grupie, choć są z innych stad, zawsze pytają więcej, niż dasz radę odpowiedzieć, a do tego pchają się, gdzie tylko mogą, a nawet i tam, gdzie nie mogą – bo to znak, że właśnie tam odnajdą prawdziwą perłę wśród wszystkich nowinek.

Ale z tego żyły Zduny. Że o nich mówiono. Wszystkie telewizje prowadzą do Zdunów. Zduny to Rzym tego kraju. Jak sensacja – to w Zdunach. Miasto szaleńców i miasto klaunów, siedlisko wszelkich dziwactw, przekrętów, korupcji, sztuki wysokiej, niskiej i podziemnej, sztuki wyklętej i zakazanej, miasto marzeń i miasto koszmarów, miasto, słowem, wszystkiego. W tym stworzeń, które oświeconym umysłem (szczególnie tym, które w ogromie potężnej swej obliczeniowej mocy potrafią zaprzeczać powszechnie uznawanym faktom, powszechnie sprawdzonym i przebadanym, argumentując jednocześnie owe wątpliwości ogólnoswiatowym spiskiem dezinformacyjnym i manipulacyjnym; o! – wy geniusze!) nigdy się nie śniły i być może nie przyśnią.

I tak było teraz. Świat dosłownie oszalał, stanął do góry nogami (lub spodem płaszczyzny, zależy bowiem, którą teorię rabinów rozpatrujemy), zatańczył swoiste danse macabre z gargantuicznym, piekielnie gorącym pożarem najbardziej wstrząsającej informacji od czasów... samego początku wszechrzeczy. Wszystko nagle stanęło, zapadło się pod

ciężarem zaskoczenia, zamarło w osobliwości zadumanej ekscytacji tym, co nieznanne, co nowe, co dziwne, a co wbrew rozsądkowi okrzyknięto p r a w d ą. W ten oto sposób wielka czarna dziura wessała na nowo Zduny do swego rozlazłego wnętrza – a pan burmistrz, ten chciwy prado n-tej wnuk Harpagona przykleił kolejny plik zielonych papierów do ściany chwały, której cześć oddawał nieustannie w ciągu dnia, nie kłaniając się jednak, a po prostu na nią patrząc i wzrokiem się zatracając. Nie interesował się nawet, dlaczego medialni szpicle jak plaga szczurów zalali ulice Zdunów – ważne, że przybyli! I niech mówią, mówią byle co, ale niech słowem sprowadzają wirtualnych obywateli, rezydentów-duchów, dla których to pan burmistrz, o jakież z niego wspaniałomyślny człowiek! – budował nowe dzielnice, ulice i mieszkania.

Do meritum zaś mej relacji wracając, bo z buntu zrodzą się dygresyjne dziecięcia, rzeknę – pokrótce, nie potrzeba wam szczegółów (które i tak, idąc za słowami niejakiego Witolda, wchłoniecie między kotлетem a telefonem) – o co się tutaj rozchodzi. Jak wynikało bowiem z przekazów odkrywców sensacji, w niejakich Zdunach zauważono człowieka-jeża, co więcej – nie był to dzikus ani wściekły, ale, zdawało się, porządny rezydent, z jedną tylko wadą (ale dla szpiclów najcenniejszą): iż nie wyglądał jak ludź! A mieszkał on w dzielnicy Wesołej, w drobnutkiiej, alabastrowo-bielutkiiej kamieniczce ze skromnym ogródkiem, z którego ku niebu rozpiwały swe ramiona wyjątkowo małe brzoźki (infantyizm słów adekwatny do dziecinności mieszkania Pana Jeża). Niejaki przechodzień, który zażyczył sobie anonimowość pod dźwięcznie brzmiącym pseudonimem – Pegaz, zaobserwował go spacerującego nad samym ranem po terenie swej posiadłości. I wtenczas, zgodnie z jego relacją, o mało co nie przywarł mordą do ziemi – i bynajmniej nie z wrażenia, a z zawału, o jaki się otarł, widząc tą przerażającą na pierwszy rzut oka kreaturę.

O, litości! Może i Zduny były miastem sensacji, ale – chodzący jeź? Człowieczej postury stworzenie poruszające się jak człowiek, skórę mającą jak człowiek, ręce i nogi także, ale plecy pokryte, lub może lepiej: przekłute zewsząd i wszędzie jakimis igłami czy kolcami! Paskudny widok. Wyrastały z niego jak jakieś cienkie, jednowymiarowe góry. I chyba, choć fakt ten widzieli tylko empatyczni obserwatorzy (istnienie ich mogłem zmyślić), odczuwał on ból – i to ból niemały. Pegaz mówił bowiem, że z każdym krokiem Pan Jeź wykonywał pracę większą niż powinien, jakby każdy jeden metr kosztował go tyle wysiłku, co przebiegnięcie maratonu – a poznał to po trudzie, z jakim unosił i opuszczał dalej nogę.

Czy była to wina setek bądź tysięcy igieł, jakie nosił w plecach? Nie wiadomo. Albo wiadomo, tylko nie to było ważne w sensacji. Nie to, dlaczego Pan Jeź w ogóle miał kolce w ciele, nie to, czy może potrzebował pomocy, nie to, czy może naprawdę, naprawdę cierpiał, a spacer po ogródku pozwalał mu choć na chwilę opuścić więzienie przeszywającej głębin

duszy świadomości, że, ażeby nie kłąć, jest ch...wiejnie – nie, nie interesował sensacji s e n s Pana Jeża, ale sam Pan Jeź, to że był, że istniał – i tylko jego istnienie było ważne, jako istnienie podmiotu sensacji. Mógł równie dobrze być Jana Peżem, Anap Ażej czy Żapa Jena – byle tylko miał te cholernie intrygujące w plecach kolce. Ha! Co więcej, mógł być nawet nikiem. I może był?... Bo, drogi słuchaczu mojej relacji, zdradzę ci drobny, pikantny sekrecik, że na drzwiach jego domku wisiała drobnitka tabliczka sygnowana jego nazwiskiem. I nie, o! bynajmniej, nie było ono: Jeź.

Dzięki Pegazowi Pan Jeź z dnia na dzień stał się prawdziwą gwiazdą Zdunów, jego gwiazdą i perłą w koronie, choć pan burmistrz nazwałby to raczej: r e k l a m ą. Bo, o dziwo, mury miasta pękały w szwach, gdy, o dziwo, o dziwo! – do plagi dziennikarskich szcurów dołączyły wycieczki podgatunku kanapowych konsumentów treści głupich i głupszych, to jest istot z przychylności ewolucji obdarzonych nogami, które od czasu do czasu potrafiły zerwać się z miękkiej poduchy i wyruszyć gdziekolwiek. I tak przybywając w chmarach jak szarańcze, zbierali się wszyscy w dzielnicy Wesołej obok poszukiwaczy sensacji i wspólnie przyglądali się Panu Jeżowi, który niezmiennie każdego dnia o tej samej porze wychodził na samotny spacer drózkami swego ogródeczka.

O tak, to była prawdziwa ikona Zdunów, pozwolę sobie powtórzyć. A Zduny zawładnęły już do reszty światem, sprowadziły wszystkich ludzi do swego podnóżka, żądając od nich hołdu, chwały i mamony. Pan Jeź, kreatura rodem fantasy, wspaniały obiekt do masowo serduszkowanych zdjęć na forach społecznościowych, wspaniały obiekt do artykułów na wyklętych forach spiskowców, wspaniały obiekt dla wszelkich oprawców sztuki – o tak, rządził, rządził przeogromną mocą, choć nawet nie miał o niej pojęcia. On tylko chodził ogródkiem, patrzył na brzoźki i wzdychał... udając jakby, że tej chmary Jeżożerców nie widzi.

Ale Jeżożercy widzieli go codziennie i nadto pragnęli go bardziej. I w swej zaborczości nie spostrzegli, że im dłużej jemu się przyglądano, im mocniej go napastowano, tym więcej kolców pojawiało się na jego plecach, tym ciężiej chodził i tym gorzej się prezentował. Nawet oprawcy sztuki (choć, jeśli by wierzyć tym wszystkim... o nich podaniom, słynęli oni ze swego kunsztu dostrzegania tego, co niezauważalne, słyszenia tego, co niesłyszalne) mieli to, żeby znowu nie przeklinać, głęboko w du...żym poważaniu. Nigdy żaden z nich nie zapragnął dociec do głębi fenomenu Pana Jeża, odkryć, dlaczego był Panem Jeżem. Cóż, może się bali, że gdy spróbują wejrzeć do s e r c a, to oskarżą ich o r o m a n t y z o w a n i e życia. A przecież świat współczesny jest taki nieromantyczny, taki pędzący zawrotnie, taki... bezformowy, bezpostaciowy, jest wszystkim i niczym zarazem! Nie ma co i nie ma czasu na analizowanie Pana Jeża, na tłumaczenie jego uczuć na język pisany czy malowany, czy śpiewany, o nie, nie

ma i nigdy już nie będzie, bo spasty, grubaśny brzuch powszechności i tandetności nadymał się tak solidnie, że popękała już koszula pomnika ze spiżu. I nie, nie gardzę tym, co nowe, broń mnie Muzo każda, choć słowa moje zapewne pełne wzgardy są. Uważam jednak, a to przecież tylko moje zdanie, że wypadałoby zrzucić kilogramy – i to z troski o zdrowie! – gdy wkładanie koszuli staje się wysiłkiem na miarę lądowania na Księżycu (nietrafne porównanie? to pomyśl, ile męczyli się matematycy, układając równania – i współmiernie, w proporcji jeden do jednego, ale zamieniając jednostki wysiłku psychicznego na fizyczny, przenieś to sobie). W ten sposób, jeżeli schudniesz, pomniczku ze spiżu, będziesz mógł i radować się brzuchem (przecież nie zniknie!), i radować się koszulą – a nawet dobierać sobie do niej pozostałe części garderoby, tym samym tworząc swój własny, indywidualny obraz, kombinacji którego istnieje tyle, ile gwiazd nocą na niebie widzisz. Nie jest to kusząca perspektywa?

Jeśli jednak postanowisz, pomniczku, dalej opychać się jak świnia wszystkim i niczym zarazem, będąc jak jakiś dziwnie silny magnes, który swym łakomstwem przyciąga do siebie każdy jeden pierwiastek owej p o w s z e c h n o ś c i oraz t a n d e t n o ś c i, to prędzej czy później, niestety, nawet brzuch ten, o który dbasz silniej niż o własne spiżowe serce, pryśnie jak bańka – i oto klęska przyjdzie na ciebie. Zaś dobrze byłoby, aby monument ten, który od zarania dziejów rozpina swoje ramiona nad tym obskurnym globem, choć trochę, w stopniu nawet jak najmniejszym, ale nadal t r o c h ę, prezentował się przyzwoicie. Nie chcę, aby włożył na siebie koronę oświeconych królów i ujął dłonią berło wielkich mędrców, aby patrzył na resztę z góry jak jakiś pan lub bóg co najmniej – nie! Niech będzie jak najbliższy największym i najmniejszym, niech będzie powietrzem, które identycznie wdycha ten, kto, niestety, cierpi nędzę i ten, kto może pozwolić sobie na droższe, kulturalne zbrodnie (o niesprawiedliwości obskurnego globu pomówię kiedy indziej) – ale w tej bliskości nie musi przecież być taplany w błocie! Wierz mi, wierz mi naprawdę, że można wyniośle mówić o rzeczach codziennych i oddawać ich prostotę wiernie, tak jak można komicznie, satyrycznie, a nawet idiotycznie mówić o tym, co wymagałoby kapłańskiej ofiary. I o ile to drugie uchodzi za k u n s z t, tak to pierwsze – prędzej nazwiesz cuchnącą spuścizną patetycznych czasów.

Haha! Bo tak bardzo pragniemy bezpostaciowości, że wszystkiemu tę bezpostaciową postać nadajemy. Tak – bezpostaciową postać, bo nic nie jest bezpostaciowe. Wszystko jest jakąś formą, kanonem, kliszą, schematem, a gdy wszędzie jakieś nowe słońce, to wkrótce astronomowie znajdą dziesiątki podobnych. Trzeba, trzeba i zawsze będzie trzeba oprawcom sztuki sięgać wzrokiem poza horyzont, szukając lądów najdalszych, ale nie może być to pogoń i wyścig szczurów po jakiś wyimaginowany laur zwycięski. I nie bój się, że popadniesz

w formę, bo to jest naszym losem: p o p a ś ć w formę. Ale wyborny oprawca sztuki wie, jak formę rzeźbić, tak aby w swej formowości lśniła niczym świeżo-wzeszłe słońce.

Po prostu twórz, pomniczku ze spiżu. Twórz, co leży w twoim sercu – czy sonety, czy pieśni, czy białe, czy wolne. Niech twórczość żyje sama z siebie: ani nieprzyłgnięta do formy, ani nieprzyłgnięta do szukania nowej. A kto by ciebie sądził, że masz czyjaś postać, to pamiętaj, że ocenia cię wedle kryteriów, które – trwając w pewnej formie – utrwalił w swoim czerepie. I tak oto forma sądzi formę, która forma przoduje. I sąd trwa po wieki. Amen.

Wracając zaś znowu do meritum tegoż wywodu – do Pana Jeża – przeprosić chcę z góry za tak niewłaściwe, rzekłbym, niekulturalne zachowanie, ale wszyscy dobrze wiecie, że są takie sprawy, które kładą tak żarzący na ustach węgiel, że język wbrew rozumowi sam zaczyna mówić – i póki się nie spali, będzie mówić.

Zatem – oblawa trwała. Pan Jeż nie zmieniał swej rutyny, ciągle bowiem wędrował ogrodem, przysłuchując się gwarze podnieconej (pierwszy raz powiem tak miło) ludności. Gapiów przybywało, mnożyli się chyba przez pączkowanie, nie mogę kłamać. Pan burmistrz, jeśliby wierzyć plotkom, ze skasowanych zielonych biletów zdążył już zakupić nowego mercedesa, a ponadto zainwestował w kolejne osiedla, ulice i mieszkania dla wirtualnych rezydentów. Sumiennie realizował swoje motto: *reklama gra, miasto żyje*.

Do przełomu – prawie, o jakże się łudziłem! – doszło dokładnie dwudziestego piątego dnia od odkrycia Pana Jeża. Był to dwudziesty siódmy marca Anno Domini 2021. Właśnie wtedy ja, autor tegoż to pier...wszego tak obszernego i autentycznego dokumentu o Panu Jeżu, postanowiłem spojrzeć na tę sprawę i n a c z e j, n a ś w i e ż o, inną p e r s p e k t y w ą, i to w dosłownej dosłowności – dosłownie. Każdy bowiem napastował biednego, uciemięzonego Pana Jeża od frontu jego mieszkania – i zawsze przez to patrzyli na jego główny atrybut, to jest kolczaste plecy. Każdy – za wyjątkiem mnie. Gdy pierwszy raz postanowiłem zobaczyć go na własne oczy, a był to dwudziesty siódmy marca Anno Domini 2021, wiedziałem, że jeśli chcę poznać całą prawdę, dostrzec niezakłamany blask faktycznej istoty Pana Jeża, to musiałem postąpić inaczej niż wszyscy. Dlaczego? To proste. Konsumenci treści głupich i głupszych, obdarzeni przez ewolucję nogami, przybyli pod mieszkanie Pana Jeża tylko na sygnał szpiclów i poszukiwaczy sensacji – i kierowani tym, co mówili, postępowali tak, jak im głos w odbiorniku nakazywał. A ponieważ szpicle i poszukiwacze sensacji, jak same ich określenia precyzyjnie wskazują, nosili mordę nieszczerą, to nieszczerze – czyli tylko z pragnieniem owej sensacji (traktujcie to jako synonim zysku) – o Panu Jeżu mówili. Co jeśli wspomiano tylko o jego plecach, bo twarz odsłaniała tło jego natury, tłumaczyła wszystko, może czyniła to nie

tak f a s c y n u j ą c y m, aby pan burmistrz i szpicle, i poszukiwacze sensacji mogli mieć na tym zielone bilety? Co jeśli? – i to „jeśli” nie dawało mi spokoju.

Poszedłem więc na tyły, zupełnie sam jak palec i przez nikogo niezauważony. Co zabawne, mógłbym właśnie w owym miejscu wykrzyknąć najgorsze słowo-zbrodnie (że ktoś jest debilem albo nie był to zamach, na przykład) i pozostałbym absolutnie bezkarny (swoją drogą, tak – jest debilem). Przywarłem do drewnianego płotka, nieco już, powiedzmy, zniszczonego przez czas – i wlepiłem wzrok swój w postać Pana Jeża. Chciałem, nawet musiałem dostrzec jego twarz, jego spojrzenie, usta, nos, wedrzeć się w głąb jego myśli przez zwierciadło źrenic. Wymagało tego – cóż, jego własne dobro.

I stało się to samoistnie. Nie było zresztą innego wyjścia. Pan Jeż idąc w moją stronę, obliczem do mnie zwrócony, siłą rzeczy nie miał innej możliwości, niż nie zerknąć na mnie. Gdy tylko nasze spojrzenia napotkały się, coś jakby... grom – ale duchowy, metafizyczny, taki, który czuje się w sercu – poraził nas obu. Zrozumiałem od razu. I zgięło mi kolana.

Pan Jeż... z a d r ż a ł duszą, ponieważ nikt – od wielu, wielu być może lat – nie raczył spojrzeć na jego twarz, na to, kim jest naprawdę. To plecy stały się jego twarzą, twarz – tu już nie zamierzam cenzurować – dupą, i to zakrytą najgrubszymi spodniami. A była ona... och, litości! – najzupełniej, najczłowieczniej ludzka w każdym aspekcie, zwłaszcza w smutku, jaki meandrował po niej łzami, do których, tak mi się zdało, przyzwyczajony był jak do blizn do śmierci pozostawionych na naszym ciele. Tak, Pan Jeż był okropnie, boleśnie smutny, płakał jak dziecko, ale cicho jak niemowa, jak z tłumikiem bądź kagańcem. N i k t! nie wspominał o szlochaniu ani razu. I każdy, kto dotrwał do tego momentu wyводу, doskonale wie, dlaczego.

— Ty tu co? — niespodziewanie, tak nagle, a głosem cierpkim jak agrest wybudził mnie Pan Jeż z transu gorączkowego myślenia, ostudził we mnie stale wzrastający pożar. — Nie zgubiłeś się przypadkiem? Czy może gapie zaczną mnie gwałcić i z tej strony?...

Nie wierzę w magię, ale nie mam innego, czytelniku, wytłumaczenia na to, że usłyszawszy, jak do mnie przemówił, wnet straciłem mowę.

— Bo nie wystarczy pluć na plecy c z ł o w i e k o w i... — westchnął przeciągle, z trudem. — Trzeba jeszcze śmiać mu się prosto w twarz. Ja wiem, że po to przybyłeś, nie ma innej możliwości, wszyscy, wszyscy co do jednego jesteście identyczni: bestialscy, paskudni, okropni, bezduszni, źli! I ślepi! O tu, przyjrzyj się tutaj — uniósł delikatnie prawą rękę, drżała, wskazał nią na ociekającą policzkiem łzę. — To wasz radosny Pan Jeż. Płaczę ze szczęścia, bo rozpiera mnie radość, że stałem się sensacją. Zawsze chciałem nią być. Marzyłem o tym od dziecka, wie pan? Rówieśnicy pragnęli latać w kosmos, zakładać firmy, pracować naukowo, ale ja chciałem, żeby o mnie mówiono i pisano. Żeby ogołocono mnie z imienia i mojej natury,

z mojego wewnętrznego człowieka, a powstałe dziury załatano łątką: Pan Jeź! I oto spełniam marzenie, przybłądo, ciesz się razem ze mną; czy nie to jest ważne w życiu, aby się współweselić, póki można, póki ciężkie chmury gradem nie runą na to, co dopiero powołane zostało do życia i nie zduszą tego istnienia w zarodku? Czy nie to jest ważne? A zatem ciesz się ze mną, póki wciąż tutaj chodzę, a wierz mi, przybłądo, długo nogi moje nie ustoją. Tak wielkie jest moje szczęście i tak obfita moja radość, że wiem, że mnie zabiją już wkrótce. Codziennie, gdy tutaj wychodzę, wystawiam się na promieniotwórczą dawkę ludzkiego bestialstwa. Daję im na sobie pasożytować, daję im się ranić i kaleczyć i zapytasz teraz: ale dlaczego? nikt przecież ci nie każe. I masz rację, przybłądo, nikt mi nie kazał ani nie każe, lecz to pewna wiara, może lepiej: nadzieja, która zmusza mnie do tego, aby każdego dnia wyłaniać się i ukazywać rozochoczonemu światu. Liczę, liczę najmocniej jak potrafię, że gdy spostrzegą, iż ich poczynania tylko mnie ranią, iż dodają mi kolców w mych plecach, iż pozbawiają mnie sił do życia – to zaprzestaną i odejdą precz, tam, gdzie ich diabeł pośle, odejdą i nie wrócą nigdy, przenigdy i poza nigdy. Tylko na to liczę i tylko na to czekam, i dlatego wiernie znoszę cały ten znój, całą tę mękę – tylko dlatego, bo trzyma mnie to jedno przekonanie. I choć jest ono kruche, czuję, jak rozpada się w mych rękach, przepływa przez palce niczym woda, ja nadal tu stoję, nadal tu chodzę i będę chodzić, bo i tak nie zostało mi nic innego. A wolę, aby dręczono mnie tutaj, w ogródku, niż wchodzono do mego domu, bo pewien jestem, że gdybym się zamknął, to spragnieni sensacji włamałoby się oknami. Cóż za podłe, najpodlejsze i skąpe bestie, sort paskudny i kanalie! Potwory w ludzkiej skórze, monstra, koszmary! Błędy, błędy, błędy, zbrodniarze, oprawcy, złodzieje człowieczy, kaci, sędziowie!...

I tak Pan Jeź począł wymieniać długą litanie określeń złych i gorszych, każde jedno akcentując tłumionym, ale przełzawionym łkaniem. Ja zaś stałem – i jak głupi soli słup słuchałem uważnie, choć miałem wrażenie, że każde słowo rozbijało się o mnie jak fale; mimo to naprawdę, naprawdę szczerze umysłem notowałem to, co przekazywał – a duszą łączyłem się w płaczu, bo choć wulgarna, to była to historia tragedii... c z ł o w i e k a.

— ...w piersiach nie serca, lecz ciemności jądra! — zakonkludował Pan Jeź bardzo rozemocjonowany, aż gniew, będący jednak marnym echem bezsilności, przefrunął przez powietrze wokół. — Upatrzyły sobie hieny padlinę i nie odczepią się od niej, dopóki nie oskubią jej z ostatniego kawałka mięsa. Wierz mi, przybłądo, moje mięso jest już przegniłe; nie utrzyma ani moich kości, ani ich nie pożywi. Popękane burty mego jestestwa właczają wodę na pokład i tonę, tonę w otchłani dalekiej, nieznannej, nieopanowanej niczym. I co? Nic, kompletnie nic to nie obchodzi tej bandy gapiów. Dlaczego więc i ciebie miałoby to obchodzić?

Powiedz mi, powiedz wreszcie, dlaczego spojrzełeś na moją twarz, a nie na plecy; dlaczego, wzywam bogów na świadków, stoisz tutaj, a nie tam?

— Żeby dostrzec prawdę, muszę stanąć z nią twarzą w twarz — odparłem skromnie, skamlałem prawie jak szczenię. — Nie żałuję, bo oto prawdę zobaczyłem. Ty potrzebujesz pomocy, wsparcia i miłości, potrzebujesz tego, aby ktoś był przy tobie, ale był autentycznie, nie na niby. Cierpisz niedolę i samotność i choć gościsz tłumy pod mieszkaniem, czujesz się samotny jeszcze bardziej, bo wiesz, że ich towarzystwo jest okropną iluzją, że to nie twoi przyjaciele czy rodzina, ale obcy, pasożyty, które bezprawnie wdarły się do twojego życia z intencjami absolutnie nieszczerymi. Masz dość bycia Pana Jeżem, chcesz zerwać tę łatkę, którą tobie wbrew twojej woli przyszyto. Czyż nie?

Pan Jeź zmierzył mnie jedynie spojrzeniem – było dość wymowne. Wiedziałem, że moja obecność osłodziła trawiącą go gorycz, ale nie wystarczała. Wciąż byłem gapiem, z tą różnicą, że frontalnym, nie oddupnym. Westchnąłem przeraźliwie głęboko.

— Bo nie wystarczy pluć na plecy człowiekowi. Trzeba jeszcze śmiać mu się prosto w twarz — powtórzył Pan Jeź i wtedy, myślałem, olśniło mnie. Bez słowa, jakby naglony niewidzialną siłą, ciągnięty jakimś mistycznym sznurem natchnienia, uciekłem wręcz.

I teraz, gdy patrzę na to z przyszłości, pragnę jednego: cofnąć się w czasie, by uciec od tego, dlaczego uciekłem od Pana Jeża. Tamtego dnia stwierdziłem bowiem, że kłamstwo, fałsz i obłudę można zwalczyć tylko tym, czego wszystkie się one boją – prawdą. A przecież ja ją poznałem, tą krótką rozmową z Panem Jeżem zostałem boleśnie uświadomiony, jaka jest jego sytuacja. On był chory na smutek i jak każdy chory potrzebował profesjonalnej opieki. Uwierzyłem zatem w pierwiastek dobroci człowieka i dnia następnego podałem ową informację do publicznej wiadomości. Przekraczając granicę własnej moralności, wszedłem do studia szpiclów i poszukiwaczy sensacji i w krótkim, treściwym, rzeczowym wywiadzie opowiedziałem o moim spotkaniu z Pana Jeżem.

Czułem się jak altruista. Sądziłem, naprawdę sądziłem, że gdy wszyscy ludzie zrozumieją istotę jego bólu, odpuszczą mu kolejne męki, a nawet pomogą zaleczyć rany po wcześniejszych. I wszystko się na to zanosilo, o dziwo. Błyskawicznie wręcz (aż dziwne, bo gdy wołamy o pomoc dla osób mało znanych, rzadko kiedy spada nam ona z nieba, a raczej musimy wejść po nią na sam szczyt Syzyfowej góry) zostały założone specjalne fundacje i zbiórki, które gromadziły fundusze na terapię dla Pana Jeża. Słowem – narrację obrócono o pełne sto osiemdziesiąt stopni.

Szybko jednak zauważyłem, że tylko zaczęto odgrywać inne przedstawienie, a żerowanie jak trwało, tak trwało nadal – i to w dużo gorszej, zbrodniczej formie. Teraz

bowiem nie pasożytowano na istocie Pana Jeża, ale na jego t r a g e d i i. Fundacje? Zbiórki? Akcje charytatywne? Bujda, bujda przeokropna na resorach! Wszyscy włożyli na siebie fałszywe maski wolontariuszy, ale pod spodem skrywali te same lisie, chciwe mordy. Niejaki pan burmistrz nawet raczył opuścić swój gabinet, raczył również swym majestatem ugościć Pana Jeża i raczył wygłosić poruszającą do łez przemowę o tym, jak bardzo potrzebna jest mu pomoc i jak bardzo musimy zjednoczyć się w miłosierdziu, aby jego cierpienia zakończyć. Po krótkiej sesji zdjęciowej na tle rezydencji Pana Jeża udzielił jeszcze kilku wywiadów, a potem – zadowolony z pomyślnego przebiegu swego misternego planu – powrócił do urzędu, gdzie do ściany doczepił kolejne zielone pliki, oddając im cześć, chwałę i uwielbienie spojrzeniem pra do n-tej wnuka Harpagona.

Podobnie było przecież z mediami. Ileż to powstało w z r u s z a j ą c y c h materiałów, opowiadających o nieszczęściu Pana Jeża (a zgadnij, czytelniku, jak bardzo klikalne one były, ile wyświetleń naliczyły i udostępnień!), jednakże żaden z nich – i nie trzeba być geniuszem czy Sherlockowskim umysłem, aby to dostrzec – nie był ani w krztynie, ani w atomie prawdziwy. To tylko szopka, nowa rola, którą przybrali, aby żerować dalej i na żerowaniu tym żyć, mielić zielone, mielić i mielić, i szukać sensacji, i sensacją karmić głodnych sensacji, tak zataczając nieskończone koło fałszu i mamony. A jednocześnie nikt nie próbował skutecznie pomóc Panu Jezowi. Ta forma zabijania wycieńczyła go jeszcze mocniej; przestał wychodzić na jakiegokolwiek spacer i zamknął się w domu. Ludzie zaś uważali, że to *forma jego terapii* – i rozdrabniali jego jestestwo na coraz to mniejsze kawałki, rzeźnicy człowieczy, konsumenci niewinnej egzystencji, chciwcy, niegodziwcy, diablicy.

I nic, nic nie mogło tego koła roztrzaskać.

Jednakże dwunasty kwietnia Anno Domini 2021 wstrząsnął do reszty nie tylko Zdunami, ale i całym światem. Temu wydarzeniu, drogi czytelniku, nie wiem, ile poświęcę słów, zbyt intensywnie bowiem rezonuje w moim sercu do dzisiaj, przymuszając je głównie tylko do rozpacz i buntu wobec niesprawiedliwości świata. Ale pozwól, że postaram się przedstawić to jak najwiarygodniej – jeśli jednak zadrzę, to pozwól mi drzeć, bo niełatwo mówić mi o tym, co boleśnie ugrzęzło w mej duszy.

Otóż dwunastego kwietnia Anno Domini 2021 Pan Jeż zachował się – zdaniem niektórych – bardzo nieracjonalnie, zdaniem drugich – nadzwyczaj dziwnie, ale zdaniem moim, w obliczu zaistniałych okoliczności, jak najnormalniej. To było efektem buntu, jaki iskrą zapłonął, gdy odkrył go Pegaz, i który przez następne tygodnie nasilał się, aż rozrósł do rozmiarów wielkiej, szatańskiej pożogi – i tak oto Pan Jeż, jak uśpiony długo wulkan, wybuchnął nagle strumieniem rozpaczliwej bezsilności, energią niezgody na zaistniałą

rzeczywistość, a poczynił to w sposób bardzo efektowny, choć może to niewłaściwe określenie, gdy mówić będę o tragedii nad tragediami.

Pan Jeź, mając śmiertelnie dość wszystkiego i wszystkich, raptownie wybiegł ze swojego domu trzaskając drzwiczkami i – w pełnej odwadze, z wigorem, jakiego brakowało nawet najdzielniejszym bohaterom eposów – dumnie stanął obliczem do gapiów, po raz pierwszy w historii tego świata, karcąc ich swoim gasnącym z dnia na dzień spojrzeniem.

Wszystko zamarło. Szpicle, poszukiwacze sensacji i gapie, gdy tylko zauważyli jego absolutnie ludzką twarz, zaniemówili, zastygli, zamarzli, wryli się zdziwieniem w ziemię. Pan Jeź zaś stał nadal, nie ruszał się, może nawet nie oddychał, tylko z pełną potęgą – o tak, był wtedy potężny – obdarowywał ich swoim załzawionym wzrokiem – i tak mówił do nich poemat niewerbalny, wygłaszał przemowę swoją postawą, dawał im do zrozumienia, że ma dość bycia ofiarą i nie zgadza się na takie zwierzęce, przedmiotowe traktowanie. Nie zamierzał odpuścić: chciał trwać w tym stanie, w tym miejscu i czasie tak długo, dopóki nie odejdzie spod jego domu ostatnia, fałszywa i ciekawska dusza. Przez chwilę wierzyłem, naprawdę, naprawdę mocno wierzyłem, że mu się uda, że ci wszyscy skur...czeni pod ciężarem własnych pragnień mamony ludzie wreszcie przejrzą na oczy i zdadzą sobie sprawę z tego, jak wielką zbrodnię, żerując na Panu Jeżu, popełniali; że zapali się w nich ostatnia lampeczka człowieczeństwa, szczerze przeproszą za wyrządzone krzywdy i odejdą raz na zawsze. Wierzyłem...

I wiara zawiodła. Nadzieja zgasła tak niespodziewanie – ale bezpowrotnie. Nie dało się jej odratować. Oto bowiem jeden z gapiów nagle zaczął się śmiać, i to nie podśmiechiwać czy chichotać, ale perfidnie, bezdusznie, pełną decybeli mocą – ryć. Potem jak domino; ku niebu wlatywały kolejne śmiechy, kolejne i kolejne, aż wkrótce kakofonia przemieniła się w wielką orkiestrę szydzenia, bo właśnie tym ów śmiech był – najstraszniejszą z kpin.

O, litości! To jest właśnie naszą człowieczą naturą, że gdy ktoś odsłania przed nami swą duszę i wszystkie jej rany, my się śmiejemy z jego niedoli, bo jak mógł być tak kruchy i słaby, że dał się omotać więzom smutku? O, litości! Wytoczyli tak potężne działo przeciwko Panu Jeżowi!... Wzgardzili do bólu jego otwartością i przyznaniem się do problemów, wzgardzili do reszty i bez reszty, odpowiedzieli na to śmiechem, widzieli w tym zabawę, komizm, łechtali się nawzajem czyjąś tragedią; to już nie było nawet żerowaniem ani pasożytowaniem, nie, to było e g z e k u c j ą! Egzekucją wszystkiego, co jeszcze dychało, co walczyło do ostatniego...

Pan Jeź nie dał rady. Zalał się łzami. Wigor ustąpił miejsca wszechzopaczy. Zgięty się jego nogi, zgarbił się, schował twarz w dłoniach – i łkał, łkał jak śmiertelnie przerażone dziecko, łkał bez końca i, zdawało się, aż do samego końca. Jego ubiór zatonął we łzach, twarz pomarszczyła się, dłonie podobnie, ale płacz nie ustawał – cała słona woda, jaka płynęła w jego

organizmie, wypływała na świat przez jego oczy. A ludzie – cóż, niezmiennie się radowali, śmiali do rozpuku, bawili się, och, doprawdy przednio.

Nie mogłem znieść widoku tych tortur, obrazu tej brutalnej egzekucji. Nie skłamię, naprawdę nie skłamię, gdy powiem, że śmiechem zabijali oni Pana Jeża. Każda sekunda rehotu powodowała bowiem, że wylewał więcej łez – i tak oto szpicle, poszukiwacze sensacji oraz gapie powoli odwadniali Pana Jeża. Stawał się jak roślina pozbawiona korzeni, nie miał z czego czerpać swoich sił, usychał, mizerniał, karłał... i wszystko działo się powoli, było agonią niemal zastaną, ale mimo to postępującą w czasie. Och, litości, litości!

Niknął w oczach. Szczerze niknął; widziałem, że lada chwila osunie się na ziemię i wyzionie ducha, choć raczej wyda go na pośmiertne zbesztanie, bo nie wierzyłem, aby ci zbrodniarze potrafili właściwie ducha do snu wiecznego ułożyć. I nie mogłem nic zrobić. Nie wiedziałem nawet co... pustka w mojej głowie przerażała swoją pustkowością, kłębowisko myśli, które zawsze mimo mej woli tliło się w mózgu, teraz gdzieś uciekło, wszelka kreatywność, wyobraźnia, cokolwiek, co mogłoby pomóc Panu Jezowi – odeszło. Lub umarło, tak, śmiem sądzić, że umarło, bo choć egzekucję przeprowadzano na Panie Jezusie, to i ja czułem się zabijany – gdyż o wiele bardziej wolałbym wówczas umrzeć i już na wieki nie musieć oglądać tych mord fałszywych, niż żyć przez lat kilkadziesiąt ze świadomością, jak paskudnym gatunkiem jesteśmy. Och, litości, litości, przestańcie!...

Śmiech – łzy... śmiech – śmierć... śmiech... śmiech... śmiech... śmierć!!!

I nagle łza moja rozbiła się o kamienną płytę nad grobem Pana Jeża. Piętnasty kwietnia Anno Domini 2021, dwa dni po pogrzebie. Jak się domyślasz, czytelniku, urządzony został przez samego pana burmistrza, a ceremonią to było wielką – pełną mediów i gości i sypiącej się z nieba mamony. Zaś Pan Jeż, którego tak d o b r o t l i w i e chowali, nadal w swej trumnie płakał, choć już zupełnie bezdźwięcznie. Och, litości!... Nawet z czyjejs śmierci urządzili sobie ucztę. Pomyślelibyście, że jego mieszkanie stało się m u z e u m? Paranoja, paranoja najgorsza z możliwych, bestialstwo z piekła rodem. Haha! I że nie jest nam, ludziom, wstyd, być tak żalonym gatunkiem, takim błędem w naturze, wirusem, który kaleczy świat swoją zawiścią, pychą i chciwością? Czy nie jest nam wstyd?...

O tym, że na nagrobku napisano: Pan Jeż – nie wspomnę. O tym, że prawdopodobnie to moje ostatnie dzieło, także. Jestem bowiem poszukiwanym przestępcą numer jeden, daliście wiarę? I niech to będzie ostatnią rzeczą, o której wam opowiem, abyście do reszty pojęli, ile w nas obłądy. Doskonale wiedziałem, że pogrzeb Pana Jeża będzie fałszywy do szpiku kości, dlatego chciałem zachować choć krztynę autentyczności. W pełni świadomie ukradłem z Wielkiego Muzeum Pana Jeża tabliczkę przybitą do jego drzwi i sygnowaną jego

nazwiskiem; dokonałem tego dziś rano, przed chwilą, zanim zjawiłem się nad grobem. Teraz zaś własnoręcznie przybiłem ją do nagrobka, tam, gdzie pisało: Pan Jeź. To było jedyne i wszystko zarazem, co mogłem dla niego uczynić. Pan Jeź nigdy nie chciał być Panem Jeżem, to media i świat go takim uczyniły. Nie wiercie nikomu, kto powie inaczej, niż ja teraz: nie umarł Pan Jeź, bo Pan Jeź nigdy nie istniał. Zamordowany zaś został Józef Dalski, nad którego to grobem teraz stoję.

Spoczywaj w pokoju, Józefie. A wy, szpicle, poszukiwacze sensacji, gapie i Jeżożercy, och, na was nawet nie będę już dłużej strzępił ry...gorystycznych moich słów. Czytelnicy zaś, wy moi drodzy słuchacze, uważajcie, aby i wam nie przyszyto łątki Pana Jeża. Bo wprawdzie uczyniono nim Józefa Dalskiego, to każdy z was może stać się Jeżem – bo Jeź tkwi w nas. Nawet w tych, którzy Józefa Jeżem uczynili – i choć gardzę do bólu, nie życzę im, aby stali się Jeżami. Nikomu tego nie życzę. Nikomu.

Spoczywaj w pokoju, Józefie!...